

## **„ZE ZDZISŁAWEM BEKSIŃSKIM – ARTYSTĄ MALARZEM – ROZMAWIA ZYGMUNT KORUS”**

**(„Sound and Vision“ nr 8-08, grudzień 2001)**

**Zetknąłem się z Pańskim nazwiskiem, poprzez kilku wspólnych znajomych, pod koniec lat 60. Zaczniemy więc od czasów zamieszkania w Sanoku: jakie były te początki Beksińskiego-artysty?**

Mnie może długo nie zauważano, ale jakoś byłem: fotografowałem, rysowałem, rzeźbiłem, malowałem, budowałem sobie nawet studio dźwiękowe; robiłem to co prawda na uboczu, ale przez całe lata. Nawet, gdy poznałem szereg znanych ludzi, nadal nie

funkcjonowałem jako malarz; wie pan – w obiegu krytyki, omówień czy wystaw. Z jednej strony bardzo trudno byłoby mi wówczas zrobić jakąś wystawę, bo nie miałem po temu środków, żeby prace oprawić i przetransportować, a z drugiej – nie zabiegałem o to specjalnie.

**Pan jest z wykształcenia architektem, prawda?**

Tak.

**Architekci rysują, jest to u nich naturalne...**

Fakt; ja rysowałem od najwcześniejszego dzieciństwa. Gdy mam coś komuś wyjaśnić, jakąkolwiek najprostszą sprawę, to jeżeli nie mam kartki papieru, jestem skazany na niepowodzenie; nie potrafię tego zrobić.

**Jakie były te pierwsze rysunki? Geometryczne, od linijki i ekierki?**

Skądże! Na samym początku, jak każdy młody, byłem klasycznym, wyjąłym ekspresjonistą.

**Co przedstawiały?**

Jakieś wrzeszczące postacie, wymachujące rękami. Ale te wszystkie rysunki spaliłem, tego nie ma.

**A potem? Rysunki abstrakcyjne?**

Nie rysunki! Były to grube na parę centymetrów formy łączone: lutowane cyną, elementy blachy, drutu...

**Proszę wymienić swoich mistrzów.**

Malarzy?

**Tych, co mieli wpływ na Pana wyobraźnię. Bo nie ma przecież czegoś takiego, że człowiek sam wyrósł jak kwiat na pustym polu.**

Nie wyrasta się jak kwiat, ale jak się chodzi po łące i dość chaotycznie się z niej skubie, to tu, to tam, to na końcu trudno powiedzieć, co było najważniejsze. I gdy jeszcze się wdepnie w krowią kupę od czasu do czasu. Coś zaszkodzi, coś pomoże. Zatem mam wielu mistrzów.

**Oniryczne światy, które Pan kreuje w obrazach, stają się konkretne; są oprawione w ramy.**

Tak, tylko że to wszystko, co jest konkretne, jest też iluzją. Widzimy przecież, że nie wiadomo, czy my tu siedzimy i rozmawiamy, czy też nie jest to coś równie nieprawdopodobnego, jak w filmie „Matrix”, tylko może mniej naiwne, prawda? Bo rzeczywistości nie ma w rozumieniu codziennym, lecz istnieje tylko nasze wyobrażenie o niej. Operując potocznym, banalnym i powszechnym rozumieniem struktury czasu, można zapytać: gdzie jesteśmy my sprzed minuty?; gdzie jesteśmy owi my za minutę? Wpadliśmy przed minutą do jakiejś dziury? Wyjdziemy za minutę z innej dziury? Nie ma przeszłości, nie ma przyszłości, ale czy istnieje teraźniejszość? Jeżeli się podzieli czas na najdrobniejsze odcinki, nawet na milionowe części sekundy, to i tak ta milionowa cząstka także się składa z tego czego już nie ma i z tego czego jeszcze nie ma – a zatem czasu teraźniejszego też nie ma. Więc czy my jesteśmy w ogóle, czy jest tylko nasze wyobrażenie o nas? Itd. Można się bawić takimi myślami w stylu Zenona z Elei.

**I zaklinać: „Chwilo, trwaj!”**

Mam raczej zwyczajnie pesymistyczny pogląd na rzeczywistość, na temat siebie, człowieka, świata, itd. Natomiast nie umiem w tym funkcjonować na codzień. Lubię egzystować normalnie i w jakimś tam sensie komfortowo, wobec tego funkcjonuję jako malarz w oparciu o miłe sercu złudzenie, że tworzę coś co mnie przetrwa. Mój syn, Tomek, który był również pesymistą, ale mniej hedonistycznym, a raczej ze skłonnością do rozdrapywania ran, spierał się niejednokrotnie ze mną, a właściwie ja z nim. Mówiłem mu: jeżeli płyniesz łódką i wiadomo, że za 10 km jest wodospad, gdzie łódka spadnie w otchłań i cześć, a w łódce jest do wyboru albo kaktus, albo fotel – to na czym będziesz siedział w oczekiwaniu na nieuchronny koniec? Bo ja na fotelu.

**A on co? Na kaktusie?**

Nie. On powiedział: to ja wyskoczę z łódki, by z tym skończyć od razu. No i tak... A ja nie lubię tego pesymizmu z nosem na kwintę. W tym sensie to mówię, że jestem

człowiekiem raczej wesołym na co dzień, ale że równocześnie jestem dogłębnym pesymistą – temu nie przeczę; ja po prostu w łódce siedzę na fotelu.

**Na ogół artyści plastycy, którzy lubią pisać, doceniają kaligrafię, a w ich sztuce pojawia się letryzm. A u Pana tego nie ma.**

Nie. Jeśli pisałem, to mnie interesowało przede wszystkim to, o czym pisałem.

**Nie forma.**

Nie. Czyli moje listy były szczytem niechlujstwa, bo pewne elementy mojej obecnej dysleksji już wtedy występowały. Dzisiaj one narosły, aż do absurdu, bo potrafię w dwóch liniach tekstu zrobić trzydzieści dwa błędy aliteracyjne. Chcę uderzyć „m”, a biję „t”. dlaczego? Po prostu tego zupełnie nie pojmuję. Na komputerze mogę później to sobie poprawiać, tylko że ja piszę list przez dziesięć minut, a poprawiam czasem przez

czterdzieści pięć, literka po literce. Inna rzecz, że ja nigdy nie jestem ostatecznie zdecydowany. Zarówno pisząc, malując czy robiąc cokolwiek innego. Nawet robiąc remont mieszkania uwielbiam poprawki i zostawianie fragmentów tego, co było poprzednio. Zostają stare, a nowe narastają. Strasznie lubię taką przebudowę. Wstawiali mi ostatnio okno w pracowni obok sztalug, a ja im mówię: „Tylko, broń Boże, tego zapaćkanego farbami parapetu mi nie ruszcie!”, bo ja ponad dwadzieścia lat tu malowałem i w tej narośniętej strukturze zaschniętych farb jest dwadzieścia parę lat mego życia. Zapewne uznali mnie za pomyłonego. „Położymy panu taki piękny marmurowy” – namawiali. A ja nie!

**Hmm. Czyli to jest?... (w pierwszej chwili pomyślałem, że artysta na oknie miesza farby)**

To nie brud, bo to nie brudzi, to już wyszło. To są tylko kapnięcia...



**Czyli to nie jest paleta?**

Nie, nie. Palety są tu.

**To są akryle?**

Nie, normalne klasyczne farby olejne. Coś mieszałem, coś się wylało, coś odłożyłem i postawiłem ufajdane na parapecie, i tak ta struktura narastała latami.

**Uderza kontrast pomiędzy nadrealistycznym światem pańskich obrazów, a porządkiem mebli i przedmiotów we wnętrzu.**

To że wszystko jest względnie porządnie poukładane i ma swoje miejsce, wynika z faktu, że tego miejsca mam bardzo niewiele. Jeżeli zostawiłbym przedmioty chaotycznie, bardzo prędko nie miałbym gdzie mieszkać. Teraz powoli dokonuję ekspansji, bo

zostałem sam panem na włościach, więc niektóre rzeczy ustawiam sobie w innych pomieszczeniach i nadal tak samo nie mam miejsca. Tu teraz jest moja sypialnia, są tu oprócz tapczanu trzy fotele, może tu ktoś przyjść, sięść, porozmawiać, ale takiego pokoju typu gabinet to ja nie mam. I prawdopodobnie – moja żona tak twierdziła – mam taką skłonność. Mawiała, że gdybym dostał do dyspozycji pałac Buckingham, to najdalej po roku nie byłoby gdzie usiąść obejrzeć telewizji, bo byłoby wszystko już tak zabudowane jak w plastrze miodu lub w łodzi podwodnej. Chyba miała rację.

**Regał na całą ścianę to kompaktoteka. Masa tego.**

Przy malowaniu słucham muzyki. Głośniki niskotonowe mam od tyłu, a wysokotonowe po obu stronach sztalug. No, cudów tu nie ma. Dawniej, w Sanoku, miałem to bardziej rozbudowane, miałem większą przestrzeń, a tu nie było szansy oddalenia się z głośnikami.

**Ciasno, małe pomieszczenie.**

Musiałbym pójść ze sztalugami na środek pokoju i wtedy byłaby szansa na duże kolumny, ale wtedy ze światłem byłoby gorzej. Wolałem więc być ze sztalugami możliwie blisko okna.

**Ale widok przesłania Panu jakiś wykusz.**

Żona sobie życzyła...

**Przeszklił Pan balkon?**

Tak. By suszyć przepierki w lecie, a nie łapać na nie kurzu. Teraz mam tam warsztacik. Mnie ten wykusz nie przeszkadza.

**Zatem świat Pana sztuki to żadna kontra do najbliższego otoczenia?**

Oczywiście: co ma rzeczywistość wspólnego z moją sztuką?

**Znana jest Pańska fascynacja muzyką. Czy w Warszawie też było studio?**

Tu nie było już naprawdę miejsca na studio, a nawet na ciemnię fotograficzną. Są tylko jakieś pozostałości z dawnych czasów, do których mam sentyment, bo ciemni już dawno nie ma. A wracając do studia w Sanoku, to ono nigdy nie wyszło poza etap budowy, bo nie mogłem przeskoczyć pewnych ograniczeń, które niósł ze sobą analogowy zapis taśmowy na sprzęcie amatorskim.

Dziś załatwia to komputer.

Dlatego ciągle sobie obiecuję, że do tego wrócę, bo wiem czego chcę i co mogę uzyskać. Może zainstaluję sobie jakiś program do obróbki i przekształceń, choćby Cubale? Więc co roku, kiedy upgraduję mój komputer, na wszelki wypadek wkładam także nową kartę dźwiękową, na której ewentualnie mógłbym pracować. W tej chwili mam SoundBlaster Live Platinum, ale zdaje się, że już mi czasu na zabawę w kreowanie dźwięku nie starczy. A poza tym w Sanoku byłem troszeczkę jak ten chłopak z zakładu jubilerskiego w Amsterdamie.

...?

Jest taka anegdota o facecie, który chciał iluśtam karatowy diament podzielić na pół i obszedł wszystkich jubilerów, ale nikt się tego nie chciał podjąć. Wreszcie któryś z jubilerów zawołał: „Dawidek!”. Wyszedł z zaplecza chłopak, szczył taki. „Podziel ten diament”. Dawidem przypierdolił młotkiem, diament pękł na pół. Klient się pyta: „Dlaczego nikt ze specjalistów w Amsterdamie nie chciał zrobić tego, co bez problemów zrobił ten chłopak?” „Bo oni wiedzieli, ile ten diament jest wart”.

## **Wtedy, w Sanoku Pan był takim nowicjuszem?**

Od tego czasu słuchałem straszliwe ilości muzyki, właściwie znam lepiej muzykę niż malarstwo. I wiem, ile jest wart ten diament. Po prostu czuję dystans, jaki musiałbym pokonać, żeby w ogóle ośmielić się cokolwiek robić. Mam związane ręce: tzn. czuję się trochę jak mrówka, która miałaby przejść przez Andy. Myślę sobie: „Oj, Beksiniński, ty się nie wygłupiaj, na to już nie masz szans”.

## **Stale maluje Pan przy muzyce?**

Mniej słucham ostatnio. To może wynikać z kilku czynników. Jeden – to kwestia starzenia się; człowiek z wiekiem się zmienia. Ostatnio na dodatek zaczyna mi zagrażać utrata słuchu. Jeśli ktoś do mnie mówi niskim głosem i cicho, to zaczynam nie rozumieć. Prawdopodobnie – powyżej 3 kHz mam już narastający zanik, który oceniając na ucho,

czyli pi razy drzwi, przy 8 kHz wynosi ok. 20 decybeli. Słyszę tak, jakby ktoś radiu obciął wysokie tony i zostały tylko niskie i średnie, bo te słyszę nadal tak, jak dawniej; plus szum w uchu... Trzech ludzi, którzy rozmawiają niskimi głosami, odbieram jako takie bubububu i myślę: „Cholera, o czym oni gadają?”

### **Przykra dolegliwość, gdy się tyle dzieje w sprzęcie do odsłuchiwania dźwięków.**

Wiadomo, że stereofonię uzyskuje się dzięki tonom wysokim, czyli głównie harmonicznym. W tańszych urządzeniach hi-fi stoi jeden baniak niskotonowy na środku i dwa maleńkie po bokach, bo one tylko zapewniają kierunkowość. A kierunkowość to podstawa lokalizowania, selekcjonowania i w konsekwencji rozumienia. Gdy mam trzy osoby, a nie mam poczucia kierunkowości, słyszę tylko mamroteum (sformułowanie to zawdzięczam memu synowi z okresu, gdy był dzieckiem), i z trudem wyłapuję, o czym kto mówi. Wtedy się wtrącam: „Proszę trochę głośniej, bo jestem przygłuchy”. To dla mnie krępujące. Albo muszę przyłożyć dłoń za ucho.

## **A dawniej jakiego rodzaju muzyki Pan słuchał?**

Oprócz popu, którego oczywiście słuchałem dużo, muzykę głównie z końca XIX wieku i współczesną, z pewnym wyłączeniem okresu Bartoka, Strawińskiego itd., bo jakoś nie za bardzo to lubiłem. Zresztą do dnia dzisiejszego mi to zostało. Lubiłem muzykę najwspółcześniejszą i dziewiętnastowieczną. Przesłuchałem wszystko, co było do przesłuchania na płytach. Może mniej barok, bo jakoś go nie chwytałem. Mogę lubić poszczególne utwory baroku, ale generalnie muzyka rozpoczyna się dla mnie od Schuberta, i to jest właśnie to, co tygrysy lubią najbardziej. Jeśli ten typ wrażliwości muzycznej jak Schuberta, Wagnera, Straussa, Mahlera, przenosi się dzisiaj na jakichś innych kompozytorów współczesnych, to ich z przyjemnością słucham. Chociaż obecnie moje główne upodobania są związane z muzyką rosyjską i trochę z amerykańską. Moim ulubionym kompozytorem rosyjskim (jego by należało zapytać za kogo się uważał: za Rosjanina, Niemca czy Żyda, bo pochodzenie miał mocno skomplikowane) był Alfred



Schnittke, a z amerykańskich np. Bryars lub Kernis... A także jacyś inni współcześni, jak np. Gruzin Kancheli czy Amerykanin Adams. Lubię muzykę wielu kompozytorów. Nie sposób ich wymienić.

### **Pan rysował, malował, a muzyka w tle...**

Tak. Choć trudno powiedzieć, że to było tło. To był raczej huragan dźwięków na tyle silny, że początkowo w Warszawie inni lokatorzy bloku nie mogli się przyzwyczaić. Byłem zakałą bloku. Miałem niejednokrotnie interwencje. Tylko że one były dość dziwne i wybiórczo stosowane: póki leciał Pink Floyd czy coś w tym rodzaju, to nikomu to nie przeszkadzało. Dopiero jak zaczęły rozbrzmiewać np. „Kindertotenlieder” Mahlera czy „Cztery ostatnie pieśni” Straussa, to zaraz ktoś miał pilny egzamin lub ojciec był chory. Więc już mniej więcej wiedziałem, że istnieje muzyka społecznie tolerowana i nie tolerowana – choć obie jednakowo przenikają przez ściany.

**Skoro Pańskie obrazy mają semantykę kompozytorską, to mogłyby stanowić ilustrację do niektórych utworów muzycznych.**

Chyba nie. W ten sposób bym tego nie traktował. Nie ulega wątpliwości, że czasem się zwracają do mnie, żeby zilustrować okładkę płyty czy coś. Zwykle się zgadzam, bo myślę sobie, że to jakaś tam popularyzacja obrazu. Żądam tylko, żeby wydrukować zastrzeżenie, iż to nie ja projektowałem okładkę, tylko że na okładce wykorzystano mój obraz. Żeby było jasne.

**Czy nie wierzy Pan w ekwiwalencję koloru i dźwięku?**

Nie widzę, żeby można było tłumaczyć jakimś metajęzykiem obraz na dźwięk i dźwięk na obraz. Jest to coś zupełnie innego: nie ma korelacji. W muzyce pop stosowane jest przy występach tylko wspomaganie dźwięku światłem, jakieś rozjaśnianie, laserami etc.

Poza tym są imprezy typu światło i dźwięk, ale to tylko wzmacnianie efektów, a nie przekładanie jednego na drugie.

**Wróćmy do pana malarstwa – nadrealistyczny świat, który Pan wykreował, wielu szokuje. Jest mroczny, groźny, brzydki, wyobcowany, zmurszały... Prace są bez tytułów, więc widz się zastanawia nad pana smutkiem wewnętrznym... A tu spotyka się z człowiekiem pogodnym, który żyje w pełnym świetle.**

No, ale pesymizm nie stoi w sprzeczności do poczucia humoru.

**Pomówmy więc o Pana wyobraźni: jak ze snu...**

Dobrze Pan to ujął: jak ze snu. To właśnie łączy mnie z surrealizmem: swobodny ciąg skojarzeń. To znaczy nie narzucam sobie nigdy, co będzie znaczyć to, co maluję.

## **A la long.**

Tak jak leci. Strumień katartyczny, czy coś takiego, jeśli inaczej można to nazwać. Gdy mnie ktoś pyta: „Co chciałeś przez to wyrazić?”, to odpowiadam: „Chciałem stworzyć pewną wizję, jakiś nastrój”. On jest niewerbalny, więc trudno go wyjaśnić, ale naprawdę nie wiem, co chciałem przez to powiedzieć, bo przecież nic nie wynika z faktu, że tu stoi koń – o tu, na tym obrazku... Że na koniu siedzi postać... Bardzo często posługuję się stereotypem piktograficznym, np. jeźdźca. Od czasu pomnika Marka Aureliusza, czy może jeszcze od dawniej, stosowany wielokrotnie motyw. Ukrzyżowanie, akt – to znane motywy – staram się to po swojemu namalować. Wyobrażam sobie jak bym to zrobił, i staram się to zrealizować, ale nie chcę tym niczego przekazać, bo nie mam niczego do przekazania. Staram się, żeby to było do zobaczenia – a nie do zrozumienia. Tak jak jest do zobaczenia – powiedzmy – wodospad. Jak do zobaczenia są piękne obłoki na niebie, jakiś krajobraz. Nie pytamy co to znaczy, bo ewentualne znaczenie jest cechą marginalną

wobec doznania estetycznego. Zobaczyliśmy coś... - i to nas poruszyło. Ja chciałbym, żeby tak oddziaływały obrazy, ale czy poruszają? Tego nie wiem. Ale to już inna sprawa.

**A skąd ten turpizm? Pajęczyny, zwłoki, truchła, jakieś omszone czaszki, ruiny z oczodołami, przyzna Pan, że to nie są bukiety kwiatów...**

Zaraz, zaraz. Swego czasu malowałem trochę czaszek, węży, pajęczyn itd. Ale to był u mnie okres zafascynowania manieryzmem, szczególnie neomanieryzmem wiedeńskim. Jestem przecież w jakiś sposób poddanym galicyjskim, nieprawdaż? Więc coś tam jednak ciąży na mnie z tego Wiednia, bo mi się bardzo podobali i podobają malarze, którzy tam funkcjonują, i ja w jakimś momencie silnie do tego nawiązywałem. Bardzo dawno już od tego odszedłem.

**A jaki ma Pan stosunek do tego, co piszą o Panu krytycy?**

Znaczy się, wolałbym nie czytać, bo mnie wszystko jakoś dotyka. Obojętnie co ktoś na mój temat pisze, pozytywnie bądź negatywnie, powoduje, że jakoś mi to wiąże ręce. U mnie w domu to nawet doszło do takiej jakiejś wariacji, że syn wiedział, iż nie może spojrzeć na obraz, jak maluję, bo już sam fakt, że popatrzył w trakcie roboty, prowokował u mnie takie spekulacje: „O, on sobie coś pomyślał?”. A jak sobie coś pomyślał, to za dwa dni powie: „Aleś spieprzył! Dużo lepsze było poprzednio”. Doszło do zupełnego absurdu, kompletnego, do kwadratu, wynikającego stąd, że przez pewien czas filmowałem na kamerze video proces powstawania obrazu, żeby zobaczyć kolejne jego etapy. Żeby mieć pewność, że szedłem w dobrym kierunku. A później pomyślałem sobie: nie, nie będę tego robić, bo w momencie gdy nagrywam jest tak, jakbym podglądał samego siebie. To znaczy jestem sam widzem, następuje tu pewien rodzaj rozdwojenia jaźni, który spowoduje, że będę potem sam mówił: „Spieprzyłeś to, co się dobrze zanosilo”. I teraz staram się, w miarę możliwości, nawet samemu nie podglądać tego, co robię. (*śmieje się*)

**Kiedy nabył Pan tę umiejętność powiedzenia sobie: „Stop! Ukończyłem. Nie poprawiam!”**

Wie Pan, tej umiejętności prawdopodobnie nie nabył nikt na świecie.

**Ale kiedyś pracę trzeba zakończyć.**

No, w którymś momencie... jak myślę, że już zaczynam tak pieprzyć, że za chwilę to w ogóle nic z tego nie będzie. Są trzy fazy: „O Boże, powstanie dzieło życia!”. Później okres zwątpienia, coraz głębszego, a potem: „O Jezu, pieprzę!”. Z dnia na dzień coraz gorzej to wygląda... Dość! Porzucić to w akcie rozpacz i niech zostanie już takie, jakie jest, przynajmniej niech nie będzie jeszcze gorsze.

**A jednak Pańskie prace są takie wypracowane!**

Dobrze. Bo mam naturę protestanta. Jak nie robię, to myślę, że się opieprzam; i mam wyrzuty sumienia. Leniwy protestant. To źródło kompleksu winy. Więc chciałbym pokazać, że jestem bardziej protestantem, niż jestem. Wobec tego czasem usiłuję coś wymęczyć – tak, w ogóle podoba mi się, gdy coś jest wymęczone. Naprawdę.

### **Dlaczego maluje Pan na pilśni?**

Zupełnie banalne powody. Po pierwsze, gdy zaczynałem, miałem zero pieniędzy. Nawet na gazety nie było, w ogóle znajdowaliśmy się w straszliwej nędzy, a płyta pilśniowa była najtańszym tworzywem, jakie można było dostać. Następnie – płótno trzeba było napinać na blejtramach. Mieliśmy okres realnego socjalizmu i na składach drewna w Sanoku można było dostać tylko drewno mokre klasy piątej czy siódmej. Dwie klasy, które składały się głównie z sęków. Mokre i górskie drewno – wie pan jak ono jest po wyschnięciu pokręcone?



**Pilśnia daje pewną twardość, a Pan pewnie lubi nacisnąć pędzel.**

Chodzi o przyzwyczajenie. Bo na pewno niektóre rzeczy się łatwiej maluje na płótnie. Struktura tkaniny wprowadza pewne rozbieżności pociągnięć pędzla. Płótno wprowadza jakieś uszlachetnienie, łatwiej uzyskać pewne rzeczy trudne do uzyskania na płycie np. niebo, choć drobne szczegóły pewnie trudniej. I tak zostało. A właściwie po co zmieniać warsztat? Ile ja jeszcze będę żył? Niektórzy twierdzą, że płyta jest nietrwała. Chociaż czy płótno jest trwalsze od płyty – kto to może wiedzieć? Ma inny rodzaj trwałości. Jeżeli płyta, dzięki swojej twardości, zawdzięcza to, iż się nie deformuje, to za to ona się nie poddaje pod naciskiem i każde najśłabsze otarcie powoduje zdrapanie farby.

**Bywa Pan na wernisażach swoich prac?**

Nie. Bo ja nienawidzę jeżdżenia, gdziekolwiek. Bardzo rzadko uda się komuś mnie zgwałcić, to się gdzieś ruszę. A w ogóle to wystawiać nie lubię. Gdyby sam Luwr się do

mnie zwracał, to ja się będę wykręcał, wie pan... trzeba mnie zmuszać. Po prostu nie lubię podróży, zmiany rytmu życia i tak dalej.

**O, jaka bateria lamp. Maluje Pan przy sztucznym świetle? Nie przeszkadza to Panu?**

Wie Pan, przeszkadza... Nie ulega wątpliwości, że najlepiej się maluje za dnia. Wieczorami albo w dzień bardzo pochmurny muszę zapalić lampy. Gdyby cały rok w Polsce był taki słoneczny jak dzisiaj, to właściwie nie byłoby na co narzekać. Wczoraj było czarno, brudno, lało, i wtedy w ogóle żadnego koloru człowiek nie widzi. Wtedy musi się zapalić światło; nawet jeśli maluje się szarościami.

**Dlaczego lustro pod skosem przy framudze okiennej?**

Lustro służy do tego, żebym mógł zobaczyć obraz odwrócony. Jest to dość istotne przy malowaniu, bo człowiek ma skłonność do pochylania pionów (tak jak się pismo pochyla) i nie widzi się tego.

**Czy jest pion.**

Czy jest pion, czy dobrze zbudowałem kształt – lustro bardzo pomaga.

**Pracuje Pan na stojąco i trzyma paletę w ręce? Nie kładzie jej Pan?**

Nie. Trzymam normalnie, w ręce.

**Nie obawia się Pan zastoju mięśni, bólu przegubu ręki, serca, bo ta lewa strona jest przecież narażona. Dawniej wielu artystów to odczuwało, współcześni palety kładą.**

Wszystkiego się boję, ale znowu nie przesadzajmy. Czasami kładę, ale rzadko. Raczej trzymam w ręce. Zależy jaką kto ma paletę, jak wielką, ile na niej ma farby? Od tysięcy rzeczy to zależy.

**Pańskie palety są lekkie, czyste...**

Maluję ograniczoną paletą barw. Ostatnio zszedłem do minimum: czarna, brązowa, jakaś biała i staram się obraz namalować tymi kilkoma kolorami. Oczywiście pełne komplety farb mam w szufladzie, ale wyjmuję sobie te, którymi będę dany obraz malował.

**Tak? Lubi Pan tę ascetyczną skalę barw?**

Tak. Najogólniej mogę powiedzieć tak: dla mnie bardziej bogaty jest kolor złożony niż kolor czysty. Bo powiedzmy sobie jasno: zwyczajnie kolor czysty na palecie w ogóle nie istnieje. W malarstwie mamy do czynienia nie tyle z kolorami, ile z farbami, które są

sumą koloru i zabrudzeń. Czyli w zestawie farb nie istnieje coś takiego jak czysty błękit; jest albo błękit idący w kierunku zieleni, albo błękit idący w stronę fioletu. Przy czym każdy z nich jest jeszcze dodatkowo, w mniejszym lub większym procencie, zabrudzony już z natury swego pochodzenia zarówno czernią jak i bielą oraz ma określony walor. Tak, że konkretna farba jest zawsze kolorem mniej lub bardziej brudnym, mniej lub bardziej zbliżonym do idei jaką stanowi barwa. I musimy się w tym zakresie obracać.

**Czy możemy obejrzeć obrazy? Co Pan teraz maluje?**

Mam niewiele prac w domu. Raz – że mało maluję, dwa – jednak dość ciągle sprzedaję.

**Widzę teraz sporo prac przedstawiających postać ludzką.**

Zawsze ją malowałem. A moim ulubionym tematem jest twarz.

**Te płaszczyzny malarskie – to są jakieś zaobserwowane szmaty, derki, parciane łachy – czy to tylko wyobraźnia?**

Wszystko jest wyobraźnią, ale wyobraźnia nie bierze się znikąd.

**Jest w tym jakaś mumifikacja: figury, rzeczy, architektury, świata...**

Ja wiem?... budowa formy raczej. Ja nigdy bym nie wchodził tak daleko...

**Co to jest?**

Jakby to była rzeźba, to by się nikt nie pytał, dlaczego jest taka. Po prostu jest.

**Jest Pan malarzem drogim. Czy ma Pan jakieś opory przy podawaniu klientom swoich cen?**

Dawniej miałem tego typu trudności, bo wydawało mi się, że to nieprzyzwoicie wymagać od kogoś pieniędzy, że za dużo żądam. Ale teraz się do tego przyzwyczaiłem. To tak jak droga dziwka – już jestem taki, można powiedzieć bez ogródek. Zawsze mam jakiś rodzaj oporu, ale już nie taki jak dawniej. Natomiast nie lubię się pozbywać obrazów i najchętniej bym malował tylko dla siebie, gdybym miał jakieś inne źródło dochodu.

### **Grafika komputerowa daje szansę sprzedaży klientom mniej zasobnym...**

Nie sprzedaję grafiki komputerowej. Robię to con amore. Droga dziwka też kocha się czasami z miłości, a nie dla pieniędzy. W komputery włożyłem bardzo dużo pieniędzy, a nie zarobiłem ani złotówki. Ze względu na to, że nie umiałem zdefiniować pojęcia „oryginału”. Chcę sprzedawać, ale gdy to robię, chcę dawać unikat. Mam wtedy czyste sumienie, że za rysunek czy obraz mogę wydusić maksimum forsy, bo sprzedaję jedną jedyną rzecz na świecie. Nie zrobiłem w życiu ani jednej repliki swojego obrazu.

## **Co Pan sądzi o galeriach internetowych?**

Nie kupiłem nigdy obrazu w oparciu o informację internetową. Muszę obraz zobaczyć bezpośrednio, by wiedzieć co jest wart. Informacja z internetu jest praktycznie żadna. Pokazuje zaledwie co tam jest namalowane. Inna rzecz, że figuruję w wielu galeriach internetowych, które tworzą różni ludzie. Niektórzy też *con amore*. Jest to uznanie dla moich prac i miłość do internetu, ale są także tacy którzy chcieliby sprzedawać. Przy czym są to zazwyczaj młodzi ludzie, którzy mają komputer, zarejestrowali domenę, zrobili tę galerię sztuki z ukierunkowaniem na Beverly Hills i bogatsze Emiraty Arabskie. Po prostu tego nikt nigdy nie kupi i wypadaloby wręcz życzyć im, żeby faktycznie nie znalazł się żaden nabywca. Bo oni jeszcze nie wiedzą, co to znaczy ubezpieczenie u Loyda, robienie skrzyń, Hartwig, wysyłanie – toż to zupełny koszmar. Internet dzisiejszy to bardzo dobre medium dla zdobywania i wymiany wielu informacji, ale Internet jako



obszar handlu, to są raczej opowieści cioci Kłoci lub ludzi, którzy tak naprawdę sami niczego przez Internet nie załatwiali, ale chcą być nowocześni.

**Ma Pan tyle różnych zainteresowań – podziwiam! Ale Pan mówi: architektem nie zostałem, rzeźbiarzem już nie będę, kompozytorem chyba też nie – jednak pomysłów Panu nie brakowało i nadal nie brakuje.**

Każdy z nas się czymś interesuje oprócz tego, co robi. Ja interesowałem się wieloma rzeczami, o których tu nie mówiłem, bo się zupełnie nie wiążą ze sztuką. Ale to przychodziło i odchodziło na różnych etapach.

**Architekt, poniekąd umysł ścisły, rozumienie statyki, obcowanie z techniką dźwięku – to przejście do komputerów chyba raczej nie nastręczało trudności?**

Łatwo, niełatwo – trudno powiedzieć. Z techniką za dużo nie obcowałem. Z arytmetyki jeszcze pamiętam dodawanie, gorzej mi idzie z odejmowaniem, a mnożenie i dzielenie – to gdybym nie miał kalkulatora, prawdopodobnie nie umiałbym tych działań wykonać. Może byłbym dobry w matematyce – powiedzmy – tej, która sięga do zupełnej abstrakcji, jakiejś teoretycznej, bo lubię rozważać różne problemy o charakterze może raczej metafizycznym niż matematycznym. Ale do komputera nie przychodziłem na zasadzie jakiegokolwiek swojej wiedzy technologicznej. Musiałem się go długo i w sposób naprawdę upierdliwy uczyć na zasadzie prób i błędów. Tylko że ja, jeśli czegoś chcę, jeśli coś mnie interesuje, to ja w to włączę straszliwie głęboko. Inni nie robią tego tak jak ja. Gdy kupiłem pierwszy komputer to pamiętam, że przez dwa dni siedziałem kompletnie oczadziały, bo nie mogłem się jakoś przebić przez zrozumienie zasady poruszania się na jego obszarze. Po dwóch dniach – przypominam to sobie, że w nocy, w WC, po zrobieniu siusiu, zacząłem szukać programu do spuszczenia wody. Stoję wobec ściany: „Boże, zapomniałem jak się spuszcza wodę” – nie mogę sobie przypomnieć w jakim menu i gdzie należy odnaleźć polecenie „Spuść wodę”, „Zastosuj”, „OK.” (*śmiech*). Moment

autentycznej rozpacz: „Idioto! Zapomniałeś!”. Nagle uzmysłowiłem sobie: przecież wodę się spuszcza pociągając za uchwyt w spłuczce. Już byłem tak w komputerze głęboko, że absolutnie wszedłem w całość z nogami, a nawet z siusianiem...

**Czy Pan też narzeka na narowy komputera?**

Oczywiście. Co chwila coś zaczyna wysiadać, nie działa tak, jak potrzeba.

**Na jakich programach Pan pracuje?**

Głównie na Photoshopie, ale także na innych rastrowych.

**Dużo Pan teraz fotografuje?**

Jak mam coś konkretnie zrobić, to zaczynam zbierać materiał. Np. ludzi fotografuję, jak przechodzą przez Plac Bankowy: tam jest najlepsza możliwość, żeby teleobiektywem, stojąc i nie zwracając uwagi, fotografować przechodniów na pasach. Mam potem w swym „zielniku” rozmaite typy: mam sukienki z fałdami, jakieś garnitury, fryzury, nakrycia głowy – bo wie pan, ludzie, gdy nie pozują, to są najlepsi... Potem z tej sukienki coś przetworzę, z tego garnituru zrobię coś innego – mam już surowiec.

### **A ten pejzaż „zdegradowany” jak powstał?**

Pojechałem za miasto sfotografować wysypisko śmieci. Wydawałoby się, że czynność najprostsza. Ale zaraz mnie nakryli i odesłali do Zakładu Oczyszczania, skąd za pomocą telewizji udało mi się zdobyć zezwolenie i dopiero całe wysypisko w Łubnej z oprowadzającym mnie wartownikiem za plecami miałem prawo obfotografować.

### **Nie pozwolili śmietniska sfotografować?**

Nigdzie teraz nie wolno fotografować. Za komuny nawet łatwiej było zrobić gdzieś zdjęcie. Ostatnio mnie filmowali do któregoś wywiadu, weszliśmy do jakiegoś pawilonu, a już łapacze byli przy nas i wypędzili całą ekipę, że nie mają zezwolenia na filmowanie.

**Boją się mediów, że ktoś coś napisze nie tak, jakby chcieli, np. o wyzyskiwaniu pracowników ponad miarę.**

Tak, boją się artykułów. Na dodatek operatorzy przyzwyczaili się uzewnętrzniać ze swoim sprzętem. Bo ja się już nauczyłem ze schowanego sprzętu nagrywać, i z ukrytej kamery kręcić, przez lata to ćwiczyłem.

**Zaskakujące są struktury materii, którą uzyskuje Pan w tych kolażach komputerowych.**

To jest ze ścierki do podłogi zrobione. Była mi potrzebna taka właśnie struktura.

**Efekty wykreowanej rzeczywistości nieprawdopodobne. Jakiś – że tak powiem – zaawansowany surrealizm.**

W niektórych pracach są pewne rzeczy dorysowywane ręcznie, bo nie mogłem dopasować „gotowców”, o np. ten dym lub ogień... dorobiłem malując, bo skąd miałem mieć takie zdjęcia. Chmury to są chmury – autentyczne. Musi się czasem wyjść poza fotomontaż i coś dorobić ręką. Staram się tylko wtedy dorabiać tak, żeby to nie nosiło cech mojego rysowania, a wyglądało na fotografię. Żeby się wtopiło w całość.

**Kiedy Pan postanowił spróbować z tą grafiką komputerową?**

Dość dawno, ale od zamiaru do realizacji prowadzi u mnie zawsze długa droga. To było marzenie o fotomontażu, bo to nie jest grafika w sensie 3D. Ja w ogóle nie modeluję, lecz zajmuję się fotomontażem. Modelowanie na programach 3D, takich jak Studio Max, Maja etc., jest dla mnie psychologicznie obce, bo wiem na czym to polega, trochę się próbowałem w to bawić, ale nie umiem w ten sposób myśleć o tym, co chcę uzyskać. Widzę obraz jako obszar płaszczyzny. A w modelowaniu muszę widzieć scenę oraz oddzielne elementy. Przecież to się wściec można! Otóż wszystkie programy 3D, na dzisiejszym etapie rozwoju, noszą cechy tworzenia przez informatyków i nie uwzględniają myślenia plastyków, a w każdym razie tego typu myślenia o obrazie jaki posiadam ja. Informatycy nie rozumieją istoty myślenia plastyków, podczas gdy plastycy nie umieją samodzielnie programu zbudować.

**Brak wyobraźni rzeźbiarskiej.**

To chyba nie o to idzie. Wymyśliłem takie porównanie (które wydaje mi się słuszne), a mianowicie: gdy budowano Statuę Wolności pod Nowym Jorkiem, to ją wykonano najpierw jako gliniany, potem jako gipsowy model, a wreszcie jako odlew z brązu (który do dnia dzisiejszego stoi na przyczółku mostu na Sekwanie w Paryżu), po czym inżynierowie, w oparciu o to, budowali konstrukcję nośną, i dopiero stworzyli całą Statuę Wolności.. natomiast programy 3D to budowanie Statuy Wolności od razu jako konstrukcji inżynierskiej. Bez wszystkich etapów pośrednich. Trzeba robić przekroje brył, tych przekrojów nie da się więcej zrobić jak cztery (bo się już na ekranie zlewają), więc, żeby nie wiem jak z tym kombinować, to po pewnym czasie człowiek traci i wizję, i zapał do pracy.

**Pan nie buduje bryły; postacie i rekwizyty udają trójwymiarowość w obrazie.**

Wyobrażam sobie, że taki program powstanie w przyszłości: będzie to kreowanie rzeźbiarskie w rzeczywistości wirtualnej. Po nałożeniu okularów (lub hełmu) i rękawic



wirtualnych będę mógł uzyskać „sztuczną” substancję rzeźbiarską, której uformowany rękami kształt zapisany zostanie przez komputer.

**Tak jakby Pan rzeczywiście rzeźbił.**

Tak, i na pewno będzie można dodatkowo zmieniać gęstość i opór materii wirtualnej. Materia miękka i podatna do szybkiego nadania ogólnej formy, kliknę w polecenie i zrobi się twarda, tak że będę mógł wykonać szczegóły, wtedy to będzie miało sens. Informacja o kształcie zostanie przeniesiona na komputer, na dodatek będzie można na pewno zachować cyfrowe kopie kształtów pośrednich, sumować je i tak dalej. Coś takiego prędzej czy później będzie musiało powstać, i to będzie nareszcie przyjazne narzędzie.

**Przedłużenie myśli i wyobraźni plastyka.**

Coś podobne do trójwymiarowego tabletu, bo rysować już przecież można; tablet jest nieporównywalnie wygodniejszy od myszy. Wręcz niezastąpiony. Do robienia rzeczy trójwymiarowych będzie też coś takiego.

**Czyli na czym polega ta Pańska kreacja komputerowego fotomontażu? Na montowaniu ujęć?**

Ze zdjęć robię wycinki – to jest najbardziej upierdliwa robota, właśnie ta fragmentaryzacja. Jak już miałem wycinek, to go katalogowałem i trzymałem w archiwum na CDR. Bo wiem, że jeśli mam wycięte samo oko, to w bardzo wielu wypadkach mogę go użyć i zawsze będzie inne: mniejsze, większe, mogę je rozciągnąć, podwyższyć, zmienić kolor, przekręcić. Czyli jedno oko wycięte ze zdjęcia mi wystarczy, bym setkę rozmaitych oczu z tego porobił.

**Swoiste elektroniczne lapidarium...**

To jest coś w rodzaju właśnie takiej – powiedzmy – spiżarki dr. Frankensteina, w której ja mam powstawiane: a to mózg geniusza, a to nos zbrodniarza, a to plecy pianisty, no i później mogę skleić z tego nowego homuncullusa.

**Co to są – drukowane rysunki?**

Część to rysunek, a część to wydruk.

**Jak to?**

Wszystko tu jest rysunkiem i wydrukiem. Nie mam tu akurat do zademonstrowania takiego surowego wydruku, bez dorysowania. Bo z wydruku wychodzi rysunkowy podkład, bardzo prymitywny jeśli idzie o fakturę. I potem jest opracowywany za pomocą

kreski odręcznej. Czasem parokrotnie rysuję na tym samym podkładzie robiąc kilka wersji.

**Mieliśmy więc komputeromontaż na bazie fotografii – teraz jakieś technologiczne zabiegi wokół rysunku.**

W tej chwili w tym, co robię, to nawet na pierwszy rzut oka nie widać, że komputer bierze udział. Robię rysunek ołówkiem, wprowadzam konwencjonalnym skanerem o rozdzielczości 900 pikseli do komputera, zwykle w skali szarości. I manipuluję tym w rozmaity sposób: mogę wydłużać, skracać, zwężać, przekształcać, przekręcać, odcinać fragmenty lub dublować; zagęszczam fakturę i strukturę, ich charakter. Następnie robię wydruk i dalej dorysowuję na tym odręcznie, nie zmieniając już ogólnie kształtu, pewną ilość szczegółów, a raczej głównie wykańczam to, co już jest. Jest to po prostu rysunek techniką mieszaną – tak można powiedzieć – z udziałem komputera.

## **I co dalej z tym wydrukiem?**

Biorę teraz cienkopis żelowy w kolorze czarnym i na tym zaczynam rysować – bardzo dużo rysuję, czasem przez dwa dni rysuję na tych podkładach. Tak, że to co powstaje na końcu jest rysunkiem...

## **Powstają więc unikaty.**

Tego nie wykluczam, aliści w tej chwili nie zostało to postanowione ostatecznie. Czy będą te rysunki, których mam już kilkanaście zrobionych, traktowane jako wersja ostateczna, bo wtedy ich cena musiałaby być wyższa przy sprzedaży, jako że są to prace pojedyncze i bardzo pracochłonne? I teraz jest kwestia: czy znajdę drukarnię, która mi równie dokładnie da radę to wydrukować w ograniczonym nakładzie, powiedzmy 20 do 50 numerowanych egzemplarzy, i za ile? Wtedy mogę to sprzedawać jako grafikę – już

taniej. Oczywiście o ile koszt matrycy drukarskiej nie okaże się droższy niż koszt mojego oryginału, bo to też możliwe. Lub też odwzorowanie nie będzie dostatecznie precyzyjne.

**Jak już jesteśmy przy nowinkach technicznych, to marzy mi się odtwarzanie przeszłości. Stoję w Grecji i nagle mam wrażenie, że wszystko ożyło...**

Prawdopodobnie idea Gatesa w jakimś momencie się zrealizuje: komputer zniknie jako element czasów dzisiejszych; w domu będą wyłącznie terminale, nie będą posiadały monitorów, może będą mieć kształt fotela, natomiast komputery, oprogramowanie itp. Będzie w centralach. Zechcę zwiedzić Luwr, pyk i jestem... „Mona Lisa” jak żywa.

**Można by ją nawet zreinkarnować... (ironizujemy). Ale to jest coś jak z tymi dziewczynami z „Playboya” – niby ładne, ale to nie jest to.**

A co jest nie to? Że się nie ruszają? Że nie mówią? Że nie okazują fochów? Że nie może pan z nimi wejść pod kołdrę? Spokojnie. Będzie to wszystko i jeszcze więcej. Jak zwykle zadecyduje ekonomia. Kto da pieniądze na rozwój techniki, od której zależy spadek cen? Na początek zapłacą rządy z kieszeni podatnika, bo armie będą potrzebowały dokładniejszych symulacji. Potem zapłacą sami podatnicy z własnych kieszeni, i co więcej – nie będą na to narzekać. Niech Pan spojrzy na Internet. Czy są jakiekolwiek inne płatne witryny, z wyjątkiem seksu? Nie ma. Seks jest płatny, inne za darmo. Czyli, jak na to wskazuje doświadczenie, tylko za seks ludzie zapłacą dobrowolnie i bez ociągania. Czyli wyłącznie w ten sposób wydusi się od ludu bożego pieniądze na masową produkcję i obniżkę cen sprzętu. Mogę zagwarantować, że rzeczywistość wirtualna wystartuje w oparciu o armię i seks. Doświadczenia na szczurach wykazały, że gdy wszczepi się temu gryzoniowi w mózg elektrodę drażniącą ośrodki satysfakcji seksualnej, a elektroda ta jest zasilana wtedy, gdy szczur klepie łapką w klawisz, to zwierzątko zapomni o żarciu i do oporu to robi, aż zdechnie z głodu. No, a my w tych sprawach jesteśmy niestety na poziomie szczurów. Rzeczywistość jest groteskowa, a zresztą: cóż to w ogóle jest

rzeczywistość i gdzie ona jest? Jedynie śmierć i niebyt wydają się rzeczywiste. Reszta jest złudzeniem.

**Dziękuję za przychylność.**

*Mieszkanie artysty odwiedził Zygmunt Korus*